Kraków, 1-go Lutego 1908 r.

Rok 4. Nr. 3.

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do Nr. 5 „Prawdy.“

Z dawnych czasów.

Słońce ostatniemi promieniami ozłociło ziemię i znikło gdzieś za górami — za lasami. Dzionek odziewał się powoli szatą pomroku. Gwar ludzi, powracających z pól i łąk od pracy, zmniejszał się.

W wieśniaczej chacie klęczy uboga kobieta z dwoma synami przed obrazem Najświętszej Panny. Modlitwa wieczorna, szczera, rzewna płynie z ich serca, Aniołowie zanoszą ją przed oblicze Ojca niebieskiego. Po skończonych modłach ucałowal chłopcy na „dobranoc“ ręce drogiej mateczki i położyli się na spoczynek.

Błękitne niebios sklepienie zasiało się już dawno jasnemi, złotemi gwiazdkami, cisza nocy roztoczyła swe panowanie nad poczciwymi mieszkańcami tej wioski. Staś i Boleś śpią również spokojnie pod opiekuńczem skrzydłem swego anioła, ale ich mateczka nie zmrużyła oka. Ona jeszcze modli się — czuwa. Spogląda na swe ukochane dzieci, łza zakręci się w oku i potoczy po jej troskami zoranem licu. Ona już wdową od lat kilku. Bóg zabrał jej męża, a dzieciom ojca. Przypomina sobie błogie chwile, kiedy troski o materyalne potrzeby leżały przeważnie na głowie męża, widzi tę czułość i miłość ojcowską, a dziś... ona biedna cały ciężar wychowania i wszelkich potrzeb do życia sama ponosić musi. Ciężka dola ubogiej wdowy ścisła jej serce... ale tylko wyszeptała: „Dziej się wola Boża“ i pogrążyła się w zadumie chrześcijańskiej... Wtem

przerwał jej myśli jakiś hałas. Przestraszona kobieta zbliża się do okienka. Słucha... krzyki się wzmagają i w jednej chwili złowroga pożaru łuna zawisła w powietrzu...

Z bijącem gwałtownie sercem wybiegła na próg chaty, spostrzegła uciekających mieszkańców wioski i słyszy rozpaczliwe ich krzyki:

— Uciekajcie i chrońcie się, gdzie kto może, bo Litwini napadli wieś — o Boże ratuj nas!

Przelękniona matka budzi synów, porywa ich za ręce i razem z innymi nieszczęśliwymi szuka ocalenia w ucieczce....

Litwini był to onego czasu naród pogański, dziki, a wielce nieprzyjaźny Polakom. Napadali oni często na ziemie polskie, rabowali chaty, dwory i kościoły — palili wioski i miasta, uprowadzali w niewolę mężczyzn, kobiety i dzieci, a broniących się strasznie mordowali. Pozostawiali oni po sobie okropny widok: zgliszcza budynków, ziemię krwią przesiąkłą, płacz i jęki rozpaczliwe tych, co się ukryć przed ich okiem nie zdołali....

Właśnie wpadli oni teraz do Polski w ziemię lubelską, czyniąc dzikie spustoszenia.

I w tej wiosce nikt prawie z mieszkańców nie ocalił się. Litwini bowiem rozbiegli się na wszystkie strony, uciekających pochwytali, skrępowali ich grubemi sznurami i jako jeńców uprowadzili z sobą. Los ten okrutny spotkał także i ową biedną wdowę z dwoma synami..

Panował wtenczas w Polsce Leszek Czarny. Ten dowiedziawszy się o napadzie pogańskiej tłuszczy, zebrał zaraz nieco rycerstwa i zbrojnego ludu i wyruszył z Krakowa na spotkanie się z nieprzyjacielem. Litwini mając już dużo bogactw złupionych i tysiące ludu polskiego w niewolę zabranego, zdążali właśnie ku swoim siedzibom. Dzielny atoli Leszek dognał ich niedaleko Lublina, lecz dowiedział się zarazem, że liczba wrogów przeważała podwójnie liczbę polskich wojowników. Nie chcąc przeto i tej garstki rycerstwa polskiego utracić w niepewnym dlań boju, w gorącej modlitwie prosił Boga o pomoc. Modlitwa

pokrzepiła walecznego króla, Bóg natchnął go dobrą myślą: „Za wiarę i ojczyznę walcz niewzruszony!“ — odezwał się w nim głos wewnętrzny i ten mu dodał otuchy. Na czele swego rycerstwa stanął Leszek do otwartego boju z nieprzyjacielem.

Przyszło do bitwy. Krzyk, jęk i ta wrzawa walczących przepełniały powietrze i odbijały się z trwogą o uszy więźniów, którzy, skrępowani powrozami, na oddzielnem ustawieni byli miejscu. Drżąc od niepewności i oczekiwania, smutnie oni na siebie spoglądali.

— O Boże, ratuj nas! — wyjękła nareszcie wdowa, ocierając swe oczy skrępowanemi dłońmi i spoglądając z boleścią na małych swych synów, których Litwini z powodu młodości ich wolnymi od więzów zostawili.

— Mamo kochana — rzekł po chwili Staś — ciebie muszą bardzo boleć ręce od tych sznurów; daj ja cię rozwiążę!

— Tak jest — dodał Boleś — my ze Stasiem mamy na tyle siły, aby cię mamo kochana od tych nieznośnych więzów uwolnić!...

Nieszczęśliwa matka wzniosła oczy ku niebu i rzekła:

— Dziej się wola Boża! — a potem podała ręce swe synom, którzy je po wielkich mozołach ze sznurów uwolnili.

— Teraz — zawołała wdowa jakby w natchnieniu — kiedy stróże nasi zajęci są bitwą, dopomóżmy towarzyszom niedoli!

To mówiąc, zwróciła się ku najbliższemu jeńcowi i rozwiązała skrępowanego. Szybko spadały postronki z rąk więźniów. Nakoniec, gdy już wszyscy byli wolni, rzekł jeden mąż odwagą przejęty:

— Teraz niech każdy uzbroi się w co może i uderzmy z tyłu na tę dzicz przeklętą!

W mgnieniu oka przełamawszy straże, napadli niedawni jeńcy na tylne szeregi Litwinów. Wielki popłoch i zamęt powstał między poganami. Trudno się obronić z dwóch stron przed nacierającymi Polakami. Wróg został zwyciężony. Mnóstwo pogan legło na placu boju. Reszta niedobitków, ratując swe życie, uciekła do Litwy.

Działo się to w roku 1282.

Waleczny Leszek upadł z rycerstwem polskiem na kolana i dziękował Bogu za odniesione nad dzikim narodem zwycięstwo.

Dowiedział się również o Stasiu i Bolesiu, którzy z miłości ku swej matce tak dzielnie się spisali i przez to przyczynili się niemało do pokonania nieprzyjaciół.

Na pamiątkę tego zwycięstwa i na wieczną cześć Bogu zbudował Leszek wspaniały kościół w Lublinie.

Krzywda Jaśka.

— Moja pani Maciejowa!
Czy to tak się wieprzki chowa?
To te, zamiast leżeć w chlewie
Psocą się, a pani nie wie?

To już ciężko dla waćpani
Obierzyny obrać z bani,
A w korytko dać po trochu
Owsa, otrąb albo grochu?

Czy to pani tego nie wie,
Ze wieprzki mają być w chlewie:
A dla lepszej im wygody
Wrzucić słomy, nalać wody?

To tu Jasiek siedzi ładnie
A wieprzek mu kluski kradnie;
To ta śliczna, żółta miska
Dla takiego ma być pyska?

Toć się dziecku krzywda dzieje,
A wieprzek się z tego śmieje!
I choć Jasiek wrzeszczy, krzyczy,
Wieprzek jak nic kluski ćwiczy.

Ho, ho, nie myśl, moja pani,
Ze ci tego nikt nie zgani!
Tylko przyjdzie Kusy z pola
Zaraz szczeknie: hau, hau, hola!



Jeśli chcesz hodować trzodę,
To jej nie wypuszczaj w szkodę;
Bo inaczej dam dwa susy
I po wieprzku! Jakem Kusy!

Królestwem jest rodzina, w której Ojciec głową
I królem jest, a matka kapłanką domową.

Dla Ojca i Matki cóż milszego w świecie?
Jak widzieć, że im rośnie na pociechę dziecię.

Rodzina — to kolebka i cnót wszystkich zaród,
Z niej wyrasta, co tylko ma świętego naród,

RAK I MAŁPA.

Bajka japońska.

Dawno, bardzo dawno temu, żył sobie pewien raczek, który mieszkał w małej ładniutkiej norce, na uboczu góry, gdzie prawie zawsze panował cień.

Pewnego razu, rak spostrzegł, iż na drodze leży ryż gotowany; zapewne jakiś podróżny zapomniał go na noclegu.

Raczek postanowił zabrać ten ryż do domu. Wtem podeszła do niego małpa, która mieszkała na tej samej górze i również miała apetyt na ryż, i rzekła:

— Wiesz co, zamienimy się; oddaj mi ryż, a ja ci dam nasionka od pomarańczy.

Może wam się zdaje, że raczek roześmiał się z propozycyi małpy? Bynajmniej. Przechylił główkę na bok, pomyślał przez chwilę i zgodził się.

Małpa łapczywie połknęła ryż, a raczek starannie poznosił nasionka i zasadził je przed norką w swoim maleńkim ogródku.

Wiele lat minęło od tego czasu.

Pewnego razu małpce wypadło przejść obok norki raczka.

Patrzy, a rak siedzi sobie pod cieniem wspaniałego pomarańczowego drzewa, które wyrosło z zasadzonych przezeń nasionek.

— Piękne drzewo — rzekła małpa, — masz takie śliczne drzewo pomarańczowe, a ja jestem taka głodna. Może dasz mi parę pomarańcz?

— Chętnie — odrzekł raczek — ale ja nie umiem łazić po drzewach, i będziesz musiała sama wdrapać się po nie.

— Ach! pozwól tylko! — mówi małpa.

Raczek pozwolił, lecz pod warunkiem, że małpa da mu połowę tego, co narwie.

Małpa wskoczyła na drzewo, objadła się pomarańcz do syta, napchała sobie pełne kieszenie i ogołociła całe drzewo, a biednemu raczkowi rzuciła zaledwie jakieś tam dwie zepsute pomarańcze. Oburzył się raczek i krzyknął małpie na pożegnanie, że jest nicponiem i nie dotrzymuje da-

nego słowa. Ale małpa obraziła się i jak zaczęła obrzucać biednego raczka niedojrzałemi i nawpół zgniłemi pomarańczami, tak omało, że go nie zabiła.

Widzi raczek, że nie da sobie rady z małpą, gdyż jest od niej słabszy, więc uspokoił się i rzekł:

— Słuchaj no, małpo! — Umiesz wprawdzie doskonale drapać się na drzewa, ale wtedy tylko, gdy mają gałęzie. Po gładkim pniu bez gałęzi napewnobyś nigdy nie wlazła.

Słowa te tak dotknęły małpę, iż wzięła na ambicyę i w oka mgnieniu oberwała dwa — trzy sęki naokoło pnia; ale podczas tej pracy z kieszeni jej wysypał się cały zapas pomarańcz. Raczek szybko schwycił je i zaniósł do swojej norki. Gdy potem wyszedł, małpa schwyciła go i tak zaczęła bić, że ledwie z życiem uszedł. Wreszcie przelękła się tego, co zrobiła i uciekła.

Na szczęście raczek miał bardzo dużo dobrych znajomych, którzy usłyszawszy o jego nieszczęściu, pobiegli mu na pomoc.

Pierwsza przyleciała osa; zaczęła pocieszać raczka, opiekować się nim, a potem zobaczyła się z jajkiem i opowiedziała o niegodnym postępku małpy.

Przyszli razem do raczka, a ponieważ byli pewni, że małpa zjawi się powtórnie po pomarańcze, postanowili zaczaić się i ukarać ją.

Jajko położyło się na ziemi, z zupełnie niewinną miną, jak gdyby dostało się tutaj wypadkiem; osa wleciała do wiadra i wcisnęła się w sam kącik na dnie, a raczek wpełzł w szczelinę skały, żeby go nikt nie dojrzał.

Aż tu zjawia się małpa. Ale czując się winną, stanęła w drzwiach i zaczęła się tłomaczyć.

Cisza... Zajrzała do wnętrza i weszła do norki. A ponieważ była złośliwą, podniosła jajko z podłogi i położyła na piecu.

— Ot — myśli sobie — przyjdzie raczek, a tu jajka niema.

Ale zaledwie pomyślała o tem, jajko pękło z trzaskiem na kilka kawałków i odłamki skorupy do krwi poraniły i podrapały małpę.

Z bólu skoczyła do wiadra, chcąc odświeżyć się wodą. Ale zaledwie pochyliła się nad nim, osa brzęcząc, rzuciła się ze dna wiadra i boleśnie ukąsiła ją w sam nos.

Zapiszczała małpa i zaczęła zmykać, przysięgając sobie w duchu, że się już więcej nie pokaże w norze raka.

Tak się też stało; małpa powędrowała w inne okolice, a raczek powoli wyzdrowiał i żył sobie długo, pod swym cudnem rozłożystem drzewem pomarańczowem.

Pojętny uczeń.

Nauczyciel: „Dziatki kochane, miejcie to w pamięci:
Imię Chrystusa niech się zawsze święci;
Więc „pochwalony“ w waszych ustach będzie,
I na ulicy, w polu, w domu — wszędzie.
Co najpierw powiesz przyszedłszy do domu?“
Uczeń: „Że mi się jeść chce, tak, jak rzadko komu!“

ZAGADKA.

Przez I — odziewa ludzi,
A jednak kwitnie, rośnie.
Przez s — przyjaciel człeka,
Ukaja go litośnie.

Rozwiązanie zadania rachunkowego z nr. 26-go Dzwonka:

Władzio dostał od mamy 25 orzechów; z tych dał trojgu swego rodzeństwa po 5, sobie zaś zatrzymał jako najstarszy jeszcze raz tyle, to jest 10 — razem uczyni 25.